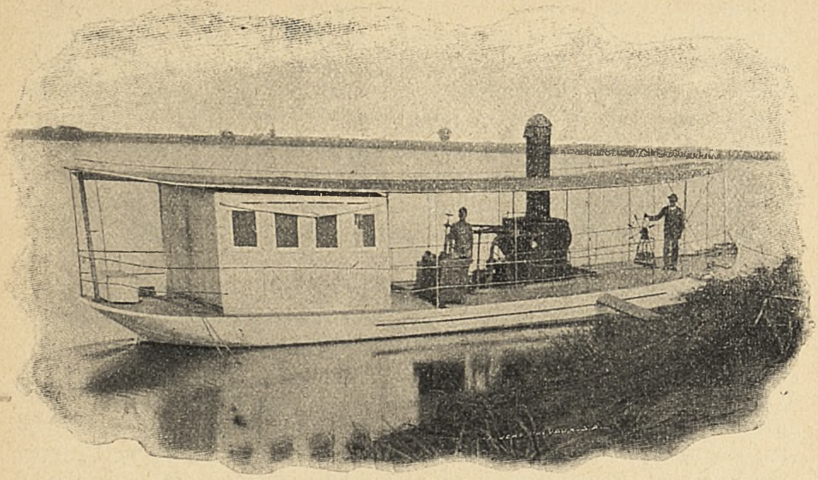


Statek misyjny „Św. Piotr Klawer“ na stanowisku.

CHRZEST I ŚMIERĆ.

Dzieje naczelnego wodza Chinamora w Chishawasha (Rhodezya).

przez O. Hesse, T. J.

(Dokończenie).

Przed budynkiem szkolnym wystąpiło 136 uczniów i przez młodych robotników wzmocniona miejscowa kapela w uporządkowanych szeregach, w odświętnych uniformach, mianowicie: szkockie czapeczki, koszule białe w czerwone pasy, białe spodnie, i szerokie w różnokolorowe pasy, szarfy. Nader skromny lecz wcale efektowny strój dla murzyńskiego chłopca!

Przyjrzyjmy się bliżej temu batalionowi szkolnemu, zanim rozlegną się dźwięki żałobnej muzyki. Dziesięć pierwszych i dziesięć ostatnich sekcyi złożonych każda z czterech uczni, składają się z t. zw. tancerzy. Wszyscy oni powiewają chorągiewkami przytwierdzonemi do trzystopowej długości rur bambusowych, dzierżą prócz tego w rękach tamburina i rogi blaszane. Głównem ich zadaniem jest pląsać lub wykonywać tańce kołowe przy dźwiękach marszów lub aryi tanecznych. Za nimi postępują dwie sekcye doboszów. Przed właściwą kapelą ma-

szeruje chorąży z adjutantami. Orkiestra posiada jeden duży bęben, trzy mniejsze, dwie pary cymbałów, ogółem 60 instrumentów. Repertuar jest nader bogaty, obejmuje bowiem 80 różnych utworów muzycznych. Każdy z muzykantów ma swoje, przez uczniów szkolnych przepisane i na grubym kartonie nalepione nuty, i nosi takowe poukładane w porządku w tece sporządzonej z sukna przez naszego jednonogiego krawca Pontiana. Dodać trzeba, że nasi uczniacy drażnią przy każdej sposobności poczciwego Pontiana, wołając na niego: „Ponciuszu Piłacie!“ na co tenże reaguje pogonią na swych kulach i biada temu kogo dogoni!

Kapelmistrzem jest O. Biehler. Doprowadził on kapelę do takiego rozwoju, iż wszyscy obcy przybywający do Chishawasha słysząc tutejszą muzykę, pełni są dla jej twórcy uznania i podziwu.

Obecnie rozlegają się dzwony po raz drugi. Pochód pogrzebowy, w którym biorą udział również i setki pogan, zbliża się do skraju placu. Ośmiu ludzi niesie zwłoki na marach, dziewiąty niesie rozpostarty nad niemi baldachim zastąpiony przez otwarty parasol, a dwie żony Chinamory odpędzają gałęźmi muchy napastujące nosze.

O. Superior w czarnej kapie, w asystencyi O. Hesse i O. Lickorish'a, oraz ludzi niosących krzyż i palące świece, wychodzą z kościoła. W tejże samej chwili przybywa przedstawiciel rządu, porucznik Wilson, na okazałym rumaku. Czarni jego żołnierze stają z obu stron drzwi w postawie służbowej. Przy dźwiękach marsza zbliża się orszak do zwłok, szpalerem utworzonym przez chrześcijan. Po odbytej ceremonii pokropienia rusza pochód na nowo. Rozlegają się trzy salwy, i wszyscy udają się do kościoła. Tam, złożone zostają mary przed wielkim ołtarzem na czas odprawienia modlitw przepisanych, a po odśpiewaniu „Libera“ formuje się pochód na nowo. Zwłoki, przy akompaniamencie muzyki odprowadzone zostają aż do sąsiedniej wsi chrześcijańskiej, skąd odmawiając wspólnie różaniec wracają chrześcijanie z Ojcami i Braćmi z powrotem do kościoła.

Tymczasem poganie postępują dalej drogą wiodącą do miejsca wiecznego spoczynku odległego o pięć kwadransów od kościoła. Lecz nader powoli postępuje tego rodzaju pochód. Zaledwie w cztery godziny docierają oni do celu. Stawiają bowiem od czasu do czasu mary na ziemi, zataczając niemi koło; tragarze zbaczają od czasu do czasu z drogi, uskuteczniając najdziwaczniejsze skręty, wszystko to w celu zmylenia drogi, ścigającym mary złym duchom. Dawniej, gdy czarni używali jeszcze strzelb, strzelali tuż ponad zwłokami, aby spłoszyć, jak twierdzili, owe „złe duchy“.

Gdy tylko zatrzymują się mary, taniec wojenny rozpoczyna się na nowo i wszyscy zwartym kołem okrążają zwłoki, podnoszą włócznie i maczugi ku górze i śpiewają, podrygują, wyją, skaczą w zawody zapamiętale. Wreszcie odłącza się trzech lub czterech równocześnie i odbiega o jakie sto kroków nastawiając broń przeciw domniemanemu nieprzyjacielowi w najdziwaczniejszych podskokach tak, że pięty ich uderzają rozgłośnie chwilami jedne o drugie, poczem w schylonej postawie, pędem wracają do gromady. Po nich występują inni i to trwa dopóty, dopóki zwycięstwo nie zostaje osiągnięte, co oznajmia nie radosne „Hurra!“ lecz dzikie krzyki i wycia.

Z chwilą dojścia do grobu, hałas milknie. Zwłoki z mar przełożone zostają na słomianą matę. Rozluźniają następnie całuny, rozcinają pęta, lecz tak, aby przypadkiem przez jakiś otwór nie wychylił się skrawek ciała, i wsuwają je na macie do grobu. Grobowiec jest nader ciasnym, po prostu jeden człowiek wybiera z po pod jednej z granitowych skał, których tutaj nie brak, tyle ziemi ile jej wybrać trzeba koniecznie, aby w zagłębieniu pomieściły się zwłoki ludzkie w siedzącej postawie. Zapewniwszy się, iż nieboszczyk zwrócony jest twarzą do wschodu, zamurowuje się otwór grobowy kamieniami.

W ten sposób wznosi się ponad grobem wspaniały pomnik z potężnego granitu, urągający wiekom, przewyższający wspaniałością swą wszelkie pomniki europejskie, nie kosztując przytem Mashon'ów ani centa!

Wybrał sobie nasz Chinamora na miejsce wiecznego spoczynku uroczy rzeczywiście zakątek. Podczas swojej choroby wysłał pewnego razu wszystkich swoich ludzi: „Idźcie do Musungusungu“, rzekł do nich, „i odszukajcie tam garnek, który przed 12 laty podczas wojny pozostawiłem, chcę być pochowanym tam, gdzie go znajdziecie“. — Poszli tedy owi ludzie i znaleźli rzeczywiście gliniany garnek w zagłębieniu skalnem. W tej to jaskince, pasając trzody, przed laty 60, szukał nieraz Chinamora schronienia przed deszczem i wichurą. Z tej jaskini również patrzeć mógł na grób najstarszego swego syna Bokwy, znajdujący się na przeciwległem wzgórzu, i z tejże jaskini patrzał zwycięzca Washawash'ów na swój kraj, który rozciągał się przed nim z swojemi wieloma pasznistemi łąkami i zalesionemi wzgórzami o przeszło 40-milowem widnokręgu.

Nie dziw, że Chinamora pokochał to miejsce i na niem spocząć pragnął. Syn jego Canuti, ukończony kamieniarz, wzniesie niebawem ojcu swojemu krzyż, którego napis obwieszczać będzie potomnym, kim był ten, kto w tym zakątku snem wiecznym spoczywa.

Na razie strażują przez cztery tygodnie przy grobie poganie, aby przypadkiem czarownik nie poobcinał zmarłemu palców u ręki i stóp.

Wielkiego znaczenia dla naszej misyi jest obecnie pytanie: „Kto będzie następnym Chinamorą?“ Według praw Mashon'ów, następstwo tronu, jeśli się w tym wypadku tak szumnie wyrazić można, przechodzi nie na najstarszego syna, lecz na żyjącego, najstarszego z kolei brata nieboszczyka lub jego dzieci. Dwaj jednak najbliżsi kandydaci do tronu mieszkają poza obrębem naszej wsi i wrogie zajmują stanowisko wobec chrystyanizmu. Wybór zatem jednego z nich sprawiłby, iż wszystka ruchoma własność zmarłego Chinamory, w skład której wchodzą również żony jego i dzieci, stałaby się własnością nowego władcy.

Według wszelkiego jednak prawdopodobieństwa następcą obwołany zostanie syn Chinamory, Chikerema, nader obrotny i wymowny młody człowiek. Zatwierdzenie wyboru i koronacya, najdziwniejszym obyczajem uskuteczniane zostają przez Warozwich, poprzednich właścicieli i panów kraju. W Chishawasha wymarli już doszczętnie Warozw'owie, zaprasza się przeto z daleka trzech z tego plemienia, na koronacyę nowego wodza, który zawsze otrzymuje miano Chinamory. Na szczycie górskim oznacza się o umówionej porze miejsce zborne. Warozw'owie wołają: „Chinamoro gdzie jesteś?“ a kandydat odpowiada szybko: „Jestem tutaj“. Warozw'owie ukazują wodzowi z wyżyny kraj cały, następnie nakładają mu na głowę starą czapkę lub kapelusz ozdobiony potężnym pióropuszem ze strusich piór, i na tem kończy się uroczystość koronacyjna! Jako honoraryum za poniesione trudy podróży otrzymują Warozw'owie w podarunku krowę, i obie strony rozchodzą się zupełnie zadowolone.

Pomiędzy wielu innymi podarunkami dla misyj, znajduje się także cylinder. Pochodzi on zapewne od jednego z Czytelników „Echa“. Pokazywałem go tymi dniami naszemu kandydatowi do tronu. „Przypatrz się, jaki cię czeka wspaniały kapelusz królewski, gdy mianowany zostaniesz Chinamorą!“ Niemałym był jego zachwyt, ale pomyślał może przy tem po naszemu: „Pięknym jest zaiste cylinder, lecz dla tego, kto jest panem jego!“

Chcę przytoczyć jeszcze na zakończenie w jaki sposób zmarły Chinamora wyrażać zwykł był swoją wdzięczność. Przed laty otrzymał był od O. Superiora kapelusz z szerokim rondem. Rozpromieniony zasadził go z rozmachem na uszy a następnie wykonał nogami rodzaj suwanego ukłonu tak zamaszyście, że kurz kłębami wznosił się dookoła. Czy ta nader prymitywna forma podziękowania stoi w jakikolwiek sposób w pokrewieństwie z dyskretnem zsunięciem nóg w Europie? Rozsądzenie tej kwestyi pozostawiam łaskawym czytelnikom, z którymi się na razie, przejęty również uczuciem wdzięczności, pożegnać muszę, lecz nie z ukłonem „à la mode“, lub „à la Chinamora“, lecz z tysiąckrotnem, serdecznem „Bóg zapłać“ za wszystkie dobro-

dziejstwa, które z tysiąca szlachetnych dusz, spływają na biednych murzynów afrykańskich.

KORESPONDENCYA MISYJNA.

Z misyi OO. Jezuitów w Zambezie.

Znany wielu naszym Czytelnikom i tak bardzo przez nich ceniony O. Hiller, pisze z Boromy do Generalnej Kierowniczki, co następuje:

Powróciwszy z Angoni, otrzymałem list Czcigodnej Pani. Już są zatem fundamenta misyi. Miłosierny Bóg, Boskie Serce Jezusa dopomogło mi widocznie. Z początku stawała mi na drodze przeszkoda za przeszkodą i dopiero z końcem września mogłem rozpocząć roboty. Miejsce pod misyę jest bardzo piękne na wielkiem wzgórzu, naprzeciw góry Domue (2.300 m. nad poziomem morza, o $1\frac{1}{2}$ godziny drogi). Grunt jest bardzo urodzajny, ludność liczna, złożona z prawdziwych Zulusów, których Livingstone z powodu ich rozbójnictwa nazywa „dzikiemi bestyami". Dziś jest jednak inaczej, bo energia Anglików i Portugalczyków zamieniła ich w spokojne istoty. Rząd przyznał mi natychmiast 1000 ha ziemi, ale 30-tu misyonarzy nie wystarczy, aby obsadzić choć połowę tego obszaru.

Protestanci, mianowicie superintendent z pomocnikami, przyszli do mnie i powiedzieli, że zmienili już zamiar osiedlenia się w pobliżu mojej misyi i przeniosą się na odległość 5 godzin drogi, a po ich odejściu otrzymałem zawiadomienie od rządu, że mu się to oddalenie wydaje za małe i nie zgodzi się na mniejsze, jak na 10 godzin drogi. Bogu niech będą dzięki.

Przybyłem tu dnia 27 września z Bratem Schupp'em i 28 chłopcami z naszej szkoły, ukończonymi murarzami. Mieliśmy zbudować dom z kamieni i gliny, 25 m. długi i 9·20 m. szeroki, z ośmioma izbami i jedną salą, i pokryć blachą, gdyż z powodu wielkich burz pokrycie słomą byłoby niebezpieczne. W cztery tygodnie byli już moi robotnicy gotowi. Sąsiedzi nasi uważali to za rzecz wprost niemożliwą i zdumiewali się nad sprawnością murzynów. Kamienie potrzebne do budowy leżały na poblizkich wzgórzach, a 200 kobiet i dzieci stawiło się do ich znoszenia. Około 100 mężczyzn nosiło drzewo z lasu z odległości 5 godzin drogi. Drzwi, okna i rżnięte deski znoszono z Boromy. Po ukończeniu mojego rzemiosła wróciłem do Boromy, a O. Simon pojechał tam z cieślami, aby zbudować dach. Tak prędko nie założono jeszcze żadnej misyi, dzięki Boskiemu Sercu Pana Jezusa, które mi tak widocznie dopo-

mogło i przysłało zupełnie nieoczekiwanie 1000 mk. dla opędzenia wszystkich wydatków. Tysiąc razy niech Mu będą dzięki za to przez całą wieczność i świętym aniołom Jego, którzy nam pomagali!

Kraj ten jest wyżyną, wzniesioną 1.300 metrów nad poziom morza, co sprawia, że w czasie, kiedy w Boromie termometr wskazuje + 43°, to w naszej misyi mieliśmy zaledwo 25°, a nocami nawet zimno. Że w pobliżu tego pieca Zambezy jest kraj tak piękny, nie wiedzieliśmy dotychczas nic. Przed ośmiu laty był on jeszcze zamknięty. Ziemia jest tu prawie wszędzie urodzajna. W pobliżu domu, w odległości jakich 500 kroków, płynie rzeczka; źródła znajdują się wszędzie. Nadewszystko jednak celują mieszkańcy. Te dawniejsze dzikie bestye okazują szczególną skłonność do religii i wszyscy chcą się uczyć czytania i pisania; nawet kobiety siedzą w szkole z dziećmi na plecach, a z książką w ręce. Przytem znać na nich głęboki wpływ nauki katechizmu. Przytoczę tylko jeden przykład: Dziki poganin, mający około 80 żon, przesłał córkę swoją w wieku lat 16 (z sąsiedniej misyi), angielskiemu gubernatorowi na żonę, (na żądanie tego pana, ale naturalnie bez małżeństwa). Dziewczyna była katechumenką, musiała w domu ciężko pracować, a ubranie miała bardzo nędzne, bo z kory drzewnej. Jakaż tedy piękna perspektywa dla biednej murzynki: zostać żoną gubernatora, jeść z jego stołu, nie pracować, a spać zamiast na ziemi w porządnem łóżku i ubierać się w najpiękniejsze chustki! A jednak oświadczyła ta dziewczyna swojemu ojcu, że chce zostać chrześcijanką, a chrześcijanin nie może nic podobnego uczynić. Ojciec kazał ją gwałtem odstawić do gubernatora. Ale i tu oświadczyła dziewczyna to samo: „Mój panie, nie mogę zostać pańską żoną, bo chcę być chrześcijanką i służyć Panu Bogu.“ Pan ów odesłał dziewczynę z powrotem do ojca. Sądząc według stosunków afrykańskich, poniosła ta dziewczyna prawdziwie chrześcijańską ofiarę.

Są tu także bardziej wdzięczni, niż w Zambezie. Jednego dnia przyszła do nas kobieta z dzieckiem, przynosząc mąkę na sprzedaż. Dziecko miało około pięciu lat i było prawie nagie, lecz wstydziło się tak, że zasłaniało oczy rękami. Dałem dziecku coś do okrycia, a następnego dnia przynieśli mi rodzice podarunek w dowód podzięki. W innych okolicach uważają murzyni obdarowywanie ich za obowiązek misyonarzy i nie myślą za to dziękować. Chłodniejszy klimat wywiera naturalnie także błogi wpływ i ludzie nie upadli tu tak nizko, jak w gorącej Zambezie.

Misya jest już gotowa, ale w nowym domu potrzeba wielu rzeczy. Na razie jeden z pokojów stanowi kościół, który zostanie później dopiero wzniesiony. Kościół będzie musiał być

duży, ale i do obecnej kaplicy wiele potrzeba. Przedewszystkiem porządnego tabernakulum, bo obecne sporządziłem ja sam przed dwudziestu laty: jest to prosta biedna skrzynka. A potem cyboryum, kadzielnicy, welonu, lichtarzów i wszystkich urządzeń zakrystyjnych. Żeby się znalazł jaki dobroczyńca! Ale najpierw potrzeba nam dzwonka do nowej misyi. Musiałby być jednak duży, aby już zdaleka usłyszeć jego wołanie na *Anioł Pański.*

Serdeczna podzięka za dobroć Czcigodnej Pani; niechaj Pan Bóg błogosławi Panią, wszystkie Sodaliski, wszystkich Dobroczyńców i całe dzieło.

WYBRZEŻE KOŚCI SŁONIOWEJ.

Kaplica św. Piotra Klawera.

Bonua.

Czcigodna Pani!

Od sześciu lat, t. j. od chwili, w której się znalazłem na Wybrzeżu Kości Słoniowej i nie widziałem nieba europejskiego, czytuję zawsze z największem zainteresowaniem „Echo", wydawane przez Sodalicyę św. Piotra Klawera. Jeżeli dotychczas mimo tego nie pisałem, to jedynie z obawy, aby się nie stać natrętnym żebrakiem, pomiędzy innymi misyonarzami, którzy może bardziej potrzebują, niż ja, choć ja tak bardzo jestem potrzebujący.

Nasza stacya w Benua ma tylko kaplicę-szkołę. Przez wszystkie dni tygodnia jest ten przytułek szkołą, przez wszystkie nocy sypialnią, a w niedzielę zmienia się na kaplicę. Kury mają tu siedzibę i wychowują potomstwo pod opieką naszych dzieci. Niestety, jest to izba wcale nie nadająca się do odprawiania Przenajświętszej Ofiary.

Mój plan jest bardzo umiarkowany i 3000 fr. wystarczyłoby na jego wykonanie. Zrobilibyśmy mury z ziemi. Mój towarzysz, O. Legal, zręczny cieśla, wystawiłby szkielet budowy z drzewa, drzwi, okna i ołtarz prosty, lecz wykonany w mahoniu. Św. Piotr Klawer zostałby patronem tej oczekiwanej i upragnionej świątyni, bo już otrzymaliśmy od O. Bernarda obraz, przedstawiający tego wielkiego Apostoła murzynów.

Ponieważ Wasza Sodalicya przyczyniła się najwięcej do zapoznania ludzi ze św. Piotrem Klawerem, więc mam nadzieję, że ta sama Sodalicya będzie miała szczęście wznoszenia tego kościółka i pobudzi swych członków do naśladownictwa. Mam tę ufność i nie będę zawiedziony, gdyż św. Piotr Klawer dopomoże. *O. Karol Vacheret.*

RÓŻANIEC I OFIARA MSZY Św.

polecane przez zmarłego.

W żywocie św. Piotra Klawera czytamy:

Kilku murzynów pracowało w kolonii oddalonej od Kartaginy. Jeden z nich poszedł rąbać drzewo na poblizkiej górze. Kiedy się zbliżał do lasu, usłyszał z wysokiego drzewa jakiś głos, który go nazywał po imieniu. Zdumiony i przestraszony, podnosi głowę, a nie widząc nikogo, chce uciekać, aby się złączyć z towarzyszami. Ucieka, ale na wązkiej ścieżce zastępuje mu drogę jakieś widmo, wymierza mu biczem kilka silnych razów i powiada:

„Czemu nie masz różańca? Noś go odtąd zawsze i odmawiaj za dusze w czyścu cierpiące." Następnie poleca mu, aby zażądał od gospodyni, u której pracuje, czterech dolarów, bo jest je winna i aby je zaniósł do Piotra Klawera, na Msze święte w jego intencyi. Zjawisko znikło, a murzyn pozostał na ziemi, raczej umarły, niż żywy, zmordowany od razów, które otrzymał i niezdolny opowiedzieć towarzyszom, którzy nadbiegli, tego, co się stało. Zaniesiono go do mieszkania, a gospodyni stwierdziła, że rzeczywiście była winna odnośną kwotę murzynowi, który na krótko przedtem był umarł.

Św. Piotr Klawer, zawiadomiony o tem, co zaszło, odprawił Msze św., o które proszono i dał różaniec murzynowi.

DAHOMEJ.

(Mis. afryk. z Lyonu).

List Ks. Biskupa Franciszka Steinmetza Wik. Apost. w Dahomeju.

Ouiddah, 12 września 1908.

Obznajmieni jesteście poniekąd przez misyonarzy z Porto Novo i z Adżaro z potrzebami tych stacyi misyjnych i z dotychczas osiągniętymi przez nich rezultatami. Nie są zgoła mniejszemi potrzeby innych stacyi. Jeżeli dozwoli mi Bóg, przedłożę Wam je wszystkie kolejno w dalszych moich listach. Dzisiaj jednak zamierzam opisać moją rezydencyę w Ouiddach. Stacya ta jest pierwszą, założoną w zatoce Benin'u. Rozwijać mogła się dopiero od r. 1892, przedtem bowiem królowie dahomejscy nie pozwalali poddanym swoim przyjmować religii chrześcijańskiej. Jedynie cudzoziemcom i niewolnikom, którzy powrócili z Brazylii wolno było przyjąć Chrzest św. i uczęszczać do szkoły.

W r. 1892 kraj ten przyłączony został do kolonii francuskich i od tej chwili rozpoczęła się dla niego nowa era. Napełniły się natychmiast szkoły dla chłopców i dziewcząt i liczba uczniów w tymże jeszcze roku doszła do 472. Od pierwszego stycznia r. 1893 aż po dziś dzień, udzieliliśmy 2174 Chrztów św.; 165 katechumenów pobiera obecnie naukę Wiary św. W przeciągu roku udzieliliśmy Chrztów św. 147, Komunii św. 3779, i wysłuchali 3102 spowiedzi.



Pochód weselny w Afryce.

Od dawna niewystarczającym stał się wobec tego lokal, będący zarazem kaplicą i szkołą. Ks. Biskup Dartois zadecydował przeto w r. 1903 budowę nowego kościoła, a ogólny entuzyazm towarzyszył położeniu i poświęceniu kamienia węgielnego. Wszyscy chcieli się przyczynić do wzniesienia Domu bożego. Krążyły więc listy składkowe pomiędzy bogatszymi, inni donosili sami piasek. Nawet poganie nie pozostali w tyle. Jeden ze znaczniejszych fetyszerów powiada mi pewnego dnia: „Gdy chodzi o pokrycie słomą chaty fetysza każdy ofiaruje chętnie swoją pracę, dlaczegożby miało być inaczej gdy chodzi o budowę Domu bożego?“ — i udał się do innych fetyszerów, przed-

kładając im tę sprawę. Skuteczną musiał zaiste rozwinąć działalność, gdyż wszyscy przyszli następnie do mnie i oświadczyli, że poszczególne dzielnice miasta dostarczać będą kolejno piasku. Obietnica ich została wykonaną w istocie: mężczyźni donosili skwapliwie piasek w beczkach, kobiety zaś i dzieci w dużych tykwach, a fetyszerzy doglądali ich przy pracy. Zeszli się więc: fetyszer, zamawiacz ospy; fetyszer, poskromiciel wężów; fetyszer piorunów, morza, ognia i t. d., i zasiadłszy z powagą u skraju piachowiska pilnowali sumiennego napełniania tykw... Oby wynagrodził ich Bóg darem łaski Swojej za ten tak chętny i czynny udział we wzniesieniu Jego świątyni. Lecz wszystka ta ofiarność nie zdołała doprowadzić do skutku rozpoczętego dzieła. Ukończoną wprawdzie jest nawa kościelną lecz pozostają jeszcze przysionki i wieża, która dopiero ukoronuje nasze dzieło, a trzeba na to przynajmniej kilku tysięcy franków. Wobec wzrastających kłopotów pieniężnych, zmuszony byłem oświadczyć moim biedakom, iż zaprzestać musimy dalszej roboty. Są tem nad wyraz strapieni.

Wiemy już z żywotu św. Piotra Klawera, iż najtrudniejsi do oswojenia niewolnicy są ci, którzy pochodzą z Wybrzeża Niewolników. A kraj Dahomeju obejmuje sam pas środkowy owego wybrzeża. Wiele jest jeszcze punktów w Dahomeju, których opanowanie wymagać będzie wiele trudów i mozołów. Z wszystkiego, co powiedziałem o mieszkańcach kraju Ouiddah'u, wywnioskować można, iż zrobiliśmy tutaj znaczny krok naprzód, i że wobec tego kościół stał się niezbędnie potrzebnym. Wznosić się on będzie o 50 m. odległości od słynnej świątyni wężów, którą przewyższy, i oto Niepokalanie Poczęta Patronka jego; zdepcze raz więcej jeszcze, odwiecznego, wrogiego węża kłamcę.

NOWY, CENNY PRZYWILEJ

dla Kapłanów, Zelatorów Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Na audyencyi udzielonej przez J. Świątobliwość Piusa X, dnia 14 kwietnia r. 1909 Generalnej Kierowniczce Sodalicyi św. Piotra Klawera, udzielił Ojciec św. nowego, wielkiego przywileju. Zezwolił, aby kapłani, którzy jako Zelatorzy dopomagają Sodalicyi, bądź rocznym datkiem, bądź słowem lub pismem, mieli moc nadawania różańcom, czyniąc nad nimi znak krzyża św., za zgodą biskupa dyecezyalnego i na czas trwania ich działalności na korzyść Sodalicyi, odpustów tak zwanych krzyżackich.

WYCIĄG Z DZIENNIKA

Generalnej Kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Rzym. *Dnia 11 maja.* — W czasie majowego nabożeństwa, kiedy śpiewamy „Tantum ergo“, wprowadza furtyanka trzech księży, którzy pozostają w kaplicy do końca. Po skończonem nabożeństwie proszę rzadkich gości do rozmownicy. Są to: X. Biskup Hirth, Wikaryusz apostolski południowej Nyanzy i O. Froberger, Prowincyał Ojców Białych w Trewirze. Towarzyszy im O. Burtin, Prokurator generalny z Rzymu. X. Bisknp Hirth działał i cierpiał w okolicach Nyanzy przez 21 lat, ale jest tak skromny, że niewiele można się od niego dowiedzieć o jego wspaniałej działalności. Obecnie na rozkaz przełożonych, ma przepędzić jeden rok w ojczyźnie, a potrzeba wypoczynku widnieje z bladej twarzy, ze słabej postaci i ze zmęczonych i bardzo osłabionych oczu heroicznego biskupa. Opowiada nam nader pocieszające rzeczy o stanie swojej misyi i o masowych nawróceniach, jakie się tam zdarzają.

17 maja, poniedziałek. — Z okazyi zbliżającej się uroczystości kanonizacyjnej bł. Klemensa Dworzaczka (Hofbauera), którego zarówno Polacy jak Austryacy czczą jako swego Apostoła, nadeszła do Rzymu liczna pielgrzymka z Królestwa Polskiego i z Galicyi. Dziś po południu spotkał mnie zaszczyt i przyjemność przyjmowania odwiedzin Przewodnika tej pielgrzymki, a naszego Dobroczyńcy, X. Biskupa Pelczara z Przemyśla. X. Biskup nie przyszedł z próżnemi rękami, lecz przyniósł nam w podarunku wspaniałe włoskie wydanie swego dzieła: „Pius IX i jego wiek.“

20 maja, czwartek. Wniebowstąpienie Pańskie. — Od godziny 11 do 12 rozbrzmiewają wszystkie dzwony w Rzymie, głosząc światu, że Namiestnik Chrystusowy zaliczył w poczet Świętych jeszcze jednego Świętego. Pełne gorącego zapału łączymy się na głos dzwonów z ogólnem błaganiem i wznosimy modły do nowego Świętego. Wczoraj wieczorem obdarował nas dobrotliwie O. Minister Redemptorystów, dając nam tyle egzemplarzy książeczki o św. Klemensie Dworzaczku (przez O. Brors, C. S. S. R.), ile osób jest w rzymskim naszym domu, nie trzeba więc było szukać modlitw do nowego Świętego.

21 maja, piątek. — W ostatnich dniach nawiedziło „Matkę Boską Dobrej Rady“ wielu członków pielgrzymki austryackiej. Przewodnik tejże X. Biskup Nagl, który wprost musiał zdobywać sobie czas, żeby nam dać nowy dowód swej cennej życzliwości, dalej Msgr. Dr. Rieder i O. Grzegorz Reitlechner, O. S. B. z Salzburga, Proboszcz z Brodu, zelatorki z Altötting, Wiednia, Moraw i t. d.

Dziś przed południem spotkała nas znowu wizyta misyonarza, Ojca Dantina z zakonu Ojców de la Salette, z wyspy Madagaskaru, długoletniego znajomego. Ze sprawozdania, jakie ze sobą przyniósł, z ośmioletniej działalności Ojców z la Salette na tej wielkiej wyspie, widać zdumiewające postępy ewangelizacyi z roku na rok. Przytoczę tylko niektóre cyfry. W r. 1901 było w misyi: 6.637 katolików, dziś ich jest: 19.385 (przeciętnie przybywa 2.000 rocznie); w r. 1901 wysłuchali: 8.391 spowiedzi, w r. 1908: 70.909; w r. 1901 rozdzielili 6.679 Komunii św., w r. 1908: 40.539! Oby z wzrastającymi owocami wzmożonej pracy, wzrosła także liczba pracowników i środków materyalnych.

23 maja, niedziela. — obecnie bawi w Rzymie liczna pielgrzymka portugalska, w której bierze udział czterech biskupów. Dzielna nasza zastępczyni z Lizbony zwróciła na nią uwagę, zachęcając nas do uzyskania audyencyi, w celu polecenia naszego portugalskiego „Echa“. Poszłam za dobrą radą i uzyskałam za pośrednictwem pewnego portugalskiego ka-

płana, oddanego naszej sprawie, wczoraj wieczorem audyencyę w kollegium portugalskiem, gdzie biskupi zamieszkali. Najpierw przyjął nas Jego Ekscell. Patryarcha Lizbony, Biskup Antonio Mendes Bello, a potem nadeszli X. Biskup Augusto Edoardo Nunes, Arcybiskup Ewory i X. Biskup Antonio Barbaso Leão, biskup Faro. Przedstawiłam Ich Ekscellencyom we francuskim języku cel mojego przyjścia, oraz w ogólnych zarysach cel Sodalicyi i przedłożyłam nasze portugalskie pisemka. Wszyscy trzej biskupi słuchali mnie z wielką dobrocią i przyrzekli poparcie dla Sodalicyi, szczególnie zaś X. Biskup Leão, który był przeszło rok biskupem Angoly i już na miejscu, w Afryce, poznał naszą Sodalicyę.

25 maja, wtorek. — Wizyta Wikaryusza apostolskiego, belgijskiego Kongo, X. Ronslé, którego brak zdrowia zmusił do spędzenia blizko roku w Europie. Teraz czuje się już wzmocniony i ma nadzieję, że w sierpniu powróci do swego wikaryatu.

28 maja, piątek. — Silna burza ochłodziła nieco upalne powietrze, ale gorąco wraca znowu. Ogród nasz pyszniący się do niedawna bogatą szatą wiosenną, zmienił zupełnie wygląd. Róże poznikały odrazu, ale za to dojrzewają figi i zapowiadają blizki zbiór. Wkrótce i pisarka dzienniczka wyruszy na północ, przez Alpy, ale tym razem nie dla podróży propagacyjnej, tylko wprost do Maria Sorg, gdzie ją czekają ważne sprawy w interesie instytutu. Drogim i wiernym Czytelniczkom dzienniczka przesyłam prośbę o modlitwy i — jeśli Pan Bóg pozwoli — do widzenia, późną jesienią!

31 maja, poniedziałek. — Nie chcemy opuszczać Wiecznego Miasta, nie pożegnawszy się najpierw z Jego Eminencyą Kardynałem Gotti. Otacza on nas szczególną dobrocią i udziela nam swego błogosławieństwa ojcowskiego w dalszej naszej pracy, która nas czeka przez lato.

ODCINEK.

KATONDA ALITUBERA.

Opowieść, której szczegóły zebrane podczas wizyty pasterskiej Biskupa Streicher'a, wikaryusza apostolskiego południowej Nyanzy (Uganda, Afryka środkowa).

(Wolny przekład z francuskiego przez B. Dzieduszycką).

(Ciąg dalszy).

V.

U „modlących się."

I tak miesiąc cały jej zeszedł w tęsknocie za powrotem do rodzinnej wioski, gdy razu pewnego jedna z katechistek (niewiast już chrześcijanek, zajmujących się uczeniem drugich katechizmu), przechodząc koło domu, gdzie mieszkała nasza dziewczynka, wstąpiła doń na chwilę, by odwiedzić jedną ze swych małych uczennic, która zapadła na silną gorączkę; katechistka zauważyła obecność naszej dziewczynki, której dotąd nie znała, zapytała ją więc, z której wioski jest rodem, i jakim sposobem do stacyi misyjnej się dostała?

Życzliwość tej osoby, łagodność jej mowy, tak ujęły serduszko Muko muziry, że przyrzekła katechistce odrazu nazajutrz rano ją odwiedzić. Dotrzymała słowa i pod przewodnictwem innej małej katechumenki mniej więcej w jej wieku, udała się na drugi dzień na miejsce, gdzie katechistka udzielała dzieciom nauk przygotowawczych do pierwszej Komunii św. Z wielkiem zdumieniem obaczyła tam mnóstwo dziewczynek otaczających nauczycielkę, a u wszystkich połyskiwał na piersiach krzyżyk lub medalik, i wszystkie miały miny uszczęśliwione. Więc i Muko muzira czyniła w duchu postanowienie, że już raz na dobre wyjdzie z tego domu i z tej pralni, gdzie od miesiąca kryła się jak dzikus prawdziwy, podczas gdy wszystko obok niej tchnęło radosnem życiem, które mogło być także jej udziałem. Pozwólmy jej własnemi słowy ciągnąć dalej to opowiadanie; dowiemy się, w jaki sposób zaczęła i ona modlić się jak drugie, jaką drogą weszła w posiadanie własnego swego „pierwszego medalika".

„Stało się to nazajutrz po odwiedzinach, jakie złożyłam poczciwej katechistce: siedząc na dziedzińcu wygrzewałam się na słońcu, gdy rozległy się odgłosy bębenków, zwołujących katechumenów na naukę. Nagle ta sama dziewczyneczka, która dnia poprzedniego poprowadziła mnie do katechistki, z pośpiechem mnie zagadnęła: „Muko muzira, czego tu siedzisz? Cóż to, nie chcesz się z nami modlić i bawić? Chodźże prędzej, lećmy, bo bębenki już bić przestały."

Ani chwili walki lub wahania we mnie nie było, zerwałam się raptownie, i pobiegłam za moją rówieśniczką. Prawie równocześnie z innemi dziećmi przybyłyśmy do szkoły, moja przyjaciółeczka gdzieś mi znikła z oczu, i nie wiedziałam, co dalej ze sobą robić. Wcisnęłam się w jakiś kąt, gdzie nieruchomie przetrwałam cały czas, gdy tamte dzieci się modliły, bojąc się okrutnie, by mnie znowu nie uraczono nazwą *poganki*. Jakkolwiek istotnie jeszcze nią byłam, tak mnie ta nazwa raziła, że mi goryczą zalewała serce. Gdy nastała rekreacya, znowu moja przyjaciółeczka obok mnie się znalazła, pytając bez ceremonii:

— Muko muzira, czy ładnie się modliłaś?"

Bardzo zmieszana tem zapytaniem, odbąknęłam nieśmiało:

— Jeszcze się nie modliłam.

— A to czemu? Czy całe życie chcesz „mukafirą" pozostać? Gdybyś się modliła, tobyś dostała ładny medalik, taki sam, jak mój. Patrz, jak się świeci! Takaś nieubrana — pfe, i medalika nie masz na szyi, cała wyglądasz jeszcze na pogankę. No mów siostrzyczko, chcesz się modlić? Zaprowadzę cię do naszej nauczycielki i tam dostaniesz medalik, no, mówże, chcesz, czy nie?

Kochałam już tę miłą dziewczynkę, to też nazwa „mukafiri“ w jej ustach, gdy o mnie się wyrażała, takiem mnie obrzydzeniem ku mnie samej przejęła, że długo się nie namyślając, dałam się zaprowadzić. Lecz gdy znalazłam się w obliczu nauczycielki poczułam, że wszystka krew się w moich żyłach ścina, a zimny pot na czoło występuje. Nauczycielka mnie sobie łatwo przypomniała i rzekła:

— Czego sobie życzysz, moje dziecko? Czy przyszłaś tu, żeby się modlić?

— Tak jest — odparła żywo moja towarzyszka — przyprowadziłam ją do was, bo ona pragnie dostać medalik.

— Tak jest Myabo (moja Matko) — podjęłam za moją przyjaciółką — pragnę medalik dostać i pragnę się modlić — i na dowód, że prawdę mówię, usiłowałam naznaczyć się krzyżem świętym, tak, jak to czyniła tylokrotnie w moich oczach Mukyala, ale czego sama dotąd nigdy nie próbowałam jeszcze. Byłam tak głupiuteńką, że lewą rękę poprowadziłam naprzód do czoła, potem na lewe, później na prawe ramię, i wreszcie na piersi. Bardzo byłam dumna z mego arcydzieła, a tu tymczasem moja przyjaciółeczka w śmiech. Powstrzymała się jednak prędko, i biorąc mnie za prawą rękę, powiodła nią znak krzyża świętego po mnie, tłómacząc mi zarazem znaczenie tego znaku, będącego znamieniem chrześcijan. Po kilku próbach potrafiłam się już przeżegnać poprawnie i bez pomocy; katechistka zadowolona z okazanej dobrej woli, i przeświadczona o szczerem mojem pragnieniu modlitwy, wzięła mnie za rękę, mówiąc: „Chodź dziecko, zaprowadzę cię do Ojca misyonarza, jak cię zobaczy, to ci da śliczny medalik na ładnym białym sznureczku“ — co rzekłszy, uprowadziła mnie ze sobą. Przekroczyłyśmy wysoki mur otaczający zabudowanie misyjne, przeszłyśmy dziedziniec zwany dziedzińcem „baganejów“ (gości), i weszłyśmy do domu z cegieł zbudowanego. Zauważyłam, że na ścianach mieszkania rozwieszone były kolorowe jakieś papiery, a za małym stolikiem siedział „muzungu“ (Europejczyk) z długą brodą, o całkiem białej twarzy, który spokojnem poważnem wejrzeniem obrzucał każdą wchodzącą osobę. Co do mnie, prowadzona jak na smyczy, przycisnęłam się trwożnie z całej siły do mojej przewodniczki. Pierwszy to raz w życiu oglądałam człowieka *białego*. No, gdyby nie to, że mnie za rękę trzymano, dopierobym była dała drapaka! Podczas gdy się tak trzęsłam ze strachu, Ojciec misyonarz z katechistką wiedli rozmowę ze sobą wśród ogólnego drugich milczenia, i zdawałam sobie intuicyjnie sprawę z tego, że o mnie jest mowa. Rozmowa przycichła na chwilę — jakiś ruch zrobił się między dziewczynkami siedzącemi obok stołu, nagle uniosła mnie nieco moja przewodniczka i złożyła całą drżącą u stóp Ojca misyonarza. Sądząc, że nadeszła ostatnia moja godzina,

jęłam go błagać o litość, on zaś uśmiechając się dobrotliwie, zaczął mnie uspakajać. Otaczające mnie dziewczynki, ze swej strony w najmilszy sposób przemawiały do mnie i oczywiście więcej tem dokazały, niż Ojciec misyonarz. mimo całej swej łagodnej perswazyi. Ale beczałam jeszcze rzewnemi łzami i łkania piersi mi rozrywały. Gdy się wreszcie nieco uspokoiłam, Ojciec misyonarz powiedział mi najtkliwszym, jakim mógł głosem: „Moja dobra dziecinko, jeśli chcesz dostać piękny medalik ze ślicznym sznureczkiem, to klęknijże i przeżegnaj się uważnie. To nam wszystkim dowiedzie, że pragniesz się modlić, i nie chcesz pozostać *mukafirą.*“ Ach! ciągle i zawsze jeszcze to słowo, co jak sztyletem mnie raniło... Posłusznie więc uklękłam i z wielkiem wzruszeniem podniosłam prawą rękę, by nią czoło naznaczyć. Wśród mego otoczenia, tak przed chwilą jeszcze hałaśliwego, zrobiło się nagle cicho, jak makiem zasiał, wszyscy mieli oczy we mnie utkwione... Ach, ta ręka! czy tylko w dobrą pójdzie stronę... Pan Bóg jakoś dopomógł i bez pomyłki dokończyłam świętego znaku Odkupienia. Ojciec misyonarz okazał się bardzo zadowolonym, z powodzeniem tedy złożyłam pierwszy egzamin, a sędziowie i audytoryum zasypali mnie powinszowaniami. Dziewczynki brały mnie za ręce, potrząsały niemi, ściskały je w dłoniach swoich, i zaczęłam się czuć bardzo szczęśliwą wśród tych nieznajomych, co kochali mnie już tak, jak się kocha siostrzyczkę. A jednak na pozór wydawałam się bardzą nieczułą na te oznaki życzliwości i moje rówieśniczki zaczęły się gorszyć, że się do nich nawet nie uśmiecham (gdzie tu szukać uśmiechów, het mnie gdzieś odbiegły!) Ojciec misyonarz kazał mi się zbliżyć do siebie (jakoś mi to raźno jeszcze nie szło), ale gdy mi zawiesił na szyi piękny medalik na białym sznureczku, gdy naprawdę ujrzałam go błyszczącym na mej piersi, serduszko żywiej zaczęło we mnie stukać, i jakaś mnie taka radość, taka niesłychana błogość ogarnęła, jakiej nigdy w życiu jeszcze nie doświadczyłam. Taką być musiała radość Mukyali w ów pamiętny wieczór, gdy rozpromieniona wróciła do domu. Przestałam być odosobnioną, mogłam swobodnie krążyć wśród moich rówieśniczek, bawić się z niemi, bez obawy, że mnie jeszcze nazwą „mukafirą“ (poganką). Już byłam teraz „basomi“ czyli „modlącą się“.

Tak się przedstawia pierwsza część opowiadania Muko Muziry. Dotąd ona nic dla Pana Boga jeszcze nie zrobiła, On tylko w niewymownej Swej dobroci i bez jej współdziałania, z upodlenia w jakiem w pogaństwie żyła, przeprowadził ją na światło, t. j. doprowadził do poznania Wiary św. Dziś już dzieweczka za nic sobie waży przebyte na tej wędrówce cierpienia — drogę do Damaszku znalazła i ona. Bóg ją na ścieżkę właściwą Sam wprowadził, czy na niej wytrwa, o tem się z dalszego toku tej historyi dowiemy. (C. d. n.).

Ś. p. HRABINA JÓZEFA LEDÓCHOWSKA.

Generalną Kierowniczkę Sodalicyi dotknął bolesny cios utraty matki, hr. Józefy Ledóchowskiej, która przeżywszy lat 78, opatrzona św. Sakramentami i wzmocniona osobnem błogosławieństwem Ojca św., zmarła po trzechtygodniowej chorobie dnia 14 lipca wieczorem w Lipnicy Murowanej w Galicyi. Przy łożu śmiertelnem czuwało troje dzieci i długoletni Spowiednik zmarłej, O. Churain, T. J., z Krakowa, który nie tylko jako kapłan dodawał jej siły w tej ciężkiej chwili, ale jak pełen poświęcenia syn pomagał w pielęgnowaniu chorej.

Ś. p. Józefa Ledóchowska pochodziła ze Szwajcaryi i była córką hr. Rudolfa Salis-Zizersa, ochmistrza dworu arcyksięcia Franciszka Karola. Jako żona hr. Antoniego Ledóchowskiego, zmarłego w r. 1885, i jako matka sześciorga dzieci była zawsze wzorem mężnej niewiasty, obdarzonej przytem znakomitym umysłem. Troje dzieci poświęciła służbie Bożej: syna i dwie córki. Syn, O. Włodzimierz Ledóchowski T. J., jest obecnie Assystentem Zakonu Jezuitów w Rzymie, jedna córka, Matka Urszula, jest przełożoną polskich Urszulanek w Petersburgu, a druga naszą Generalną Kierowniczką. Żadne z tego trojga rodzeństwa nie mogło oddać ukochanej matce ostatniej usługi, to też Generalna Kierowniczka prosi najgoręcej wszystkich Czytelników *Echa z Afryki*, jak również wszystkich Przyjaciół i Dobroczyńców Dzieła o modlitwy za spokój duszy Zmarłej.

M. d'Ernst.

ODPUSTY ZUPEŁNE,

których we wrześniu dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicyi św. Piotra Klawera:

dnia *9 września* w uroczystość **św. Piotra Klawera**.
dnia *21 września* w dzień św. Mateusza Apostoła.
dnia *24 września* w dzień Najśw. Panny od Wykupu niewolników.

Warunek: Godne przyjęcie św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzenie kościoła, modlitwa o rozkrzewienie wiary i na intencyę Ojca św.

Zamknięcie redakcyi 1 sierpnia 1909.

Wydawca: Sodalicya św. Piotra Klawera.
Redaktor odpowiedzialny: *Zofia Popielówna.*

W Krakowie. — Czcionkami drukarni „Czasu."